

Nr. 2.

Po tamtej stronie...

(ZDARZENIE PRAWDZIWE)



WARSZAWA 1930.

BIBLIOTEKAZKA ŻOŁNIERZA
KORPUSU OCHRONY POGRANICZA

Nr. 2.

Po tamtej stronie...

(ZDARZENIE PRAWDZIWE)

WARSZAWA 1930.



Po tamtej stronie...

(ZDARZENIE PRAWDZIWE).

Padał smutny, jesienny deszcz.

Okna wagonów, zroszone kroplami spływającej wody, odbijały sennie słabe światła stacji węzłowej Zdołbunów.

Pociągi przesuwwały się powoli, jak szare widma.

Na stacji, zawsze rojnej i gwarnej, prócz kolejarzy, zajętych swoją codzienną pracą,

nie można było dojrzeć nikogo. Podróżni odpoczywali w poczekalniach dworca, lub dawno już siedzieli w przedziałach pociągu, oczekując na odjazd.

Deszcz monotennie wystukiwał płaczliwe skargi...

Zostało mi jeszcze kilka minut do odejścia pociągu.

Nie chcąc pozostawać sam na sam ze swojemi myślami, zabrałem się do czytania gazet. Przebiegałem oczyma każdy artykuł, wzmiankę, ogłoszenie — nie pomagało. Deszcz żłobił w duszy osad smutku. Przymknąłem oczy.

* * *

Pociąg pośpieszny Zdobunów — Warszawa rwał z rozmachem błyskawicznym naprzód. Dopadł w kilkunastu skokach-minutach dużej stacji Równe — zatrzymał się. Do przedziału III-ej klasy wszedł mężczyzna w średnim wieku. Wygląd postaci zdradzał ciężkie przeżycia, których ślady pozostały na twarzy żółkłej, wychudłej. Ubranie łatanne, niedobre — ruchy lękliwe i oczy niespo-

kojnie latające, dawały obraz kompletnej ruiny człowieka.

Nie mogłem się oprzeć przykreemu wrażeniu. Po blisko półgodzinnem milczeniu i wzajemnem przyglądaniu się sobie, nawiązałem rozmowę.

— Dokąd pan jedzie?

— A ot, panie, daleko — do Warszawy — odparł nieznajomy.

— A skąd, można zapytać?

— Och, panie kochany, toż z bolszewji. Widzi pan moje ubranie. Nietrudno się domyślić.

— Jak pana przez granicę przepuścili?

— Przedostałem się. Zaraz po przejściu zgłosiłem się na strażnicy i po załatwieniu wszystkich formalności zostałem zwolniony. No i widzi pan, jestem w pociągu i jadę do Warszawy.

— A czy pan w Warszawie posiada znajomych? O pracę teraz trudno.

— Wiem o tem. Najgorsze już przeżyłem — Podejmę się najcięższej pracy. Byłem urzędnikiem pocztowym. Rosjanie w roku 1914 opuszczając Królestwo Polskie, przenie-

śli mnie do Homla, gdzie pracowałem do 1917 roku. W tym samym roku zostałem przeniesiony do Ihumenia na stanowisko naczelnika poczty i tam pracowałem aż do zaareztowania. Było to w styczniu 1925 roku. Bolszewicy więzili mnie za rzekome utrzymywanie stosunków z władzami polskimi. Posadzono mnie o agitację przeciw-komunistyczną i działalność szpiegowską na korzyść Polski. Trzymali mnie cały czas w więzieniu O. G. P. U.*) w Mińsku. W końcu maja 1926 roku odbył się sąd. Zostałem wprawdzie uniewinniony, lecz skazano mnie na wysiedlenie z Rosji. Nazwisko moje Tomaszewski. W Rosji pozostawiłem córkę Annę, a żona moja umarła w Homlu jeszcze w 1916 roku.

— Z prawdziwą przyjemnością poznaję pana. Już dawno pragnąłem spotkać kogoś, kto przybył z dzisiejszej Rosji. Chciałbym z ust naocznego świadka przekonać się, czy w dzisiejszej Rosji naprawdę panuje system, w którym tylko ten ma prawo do życia, kto

*) Zjednoczony Państwowy Urząd Polityczny (Объединенное Государственное Политическое Управление).

myśli według przykazań komunistycznych, a reszta, to według nich burżuazja, to trupy chodzące... Czy naprawdę na przymusie i terrorze opiera się cały ich ustroj?

— Niestety, sam się o tem przekonałem. Pozwoli pan, że na podstawie przeżyć swoich w więzieniu zapoznam pana z systemem, jaki panuje w Rosji. Szczególnie żywo zobrazuję panu ten system przygody żołnierza polskiego z K. O. P., który dobrowolnie przekroczył granicę, umiejętnie zwabiony przez propagandę bolszewicką.

— Pan powiada, że żołnierz polski...

— Niestety, poznałem tam jednego. Proszę słuchać...

Spojrzałem zaciekawiony na mego sąsiada. Usadowiłem się jak można było najwygodniej na twardej ławie.

Zapaliliśmy papierosy. Zamieniłem się cały w słuch.

Po chwili Tomaszewski zaczął:

— Nie przypominam sobie daty, było to jednak w połowie kwietnia 1925 roku. Na podwórzu więzienia G. P. U. wprowadzono żołnierza w mundurze polskim. Miał na



Na podwórzu więzienia wprowadzono żołnierza.

sobie sukienną bluzę, na głowie czapkę z granatowym otokiem bez orzelka. Myślałem, że go prowadzą do naszej celi. Było w niej tylko 17 ludzi, więc jak na sowieckie stosunki, było luźno. Każdy z nas miał swój kawałek kamiennej podłogi, gdzie mógł się wygodnie wyciągnąć. Po chwili usłyszeliśmy, że się otwierają drzwi na samym końcu korytarza, tam, gdzie były oddzielne małe cele, tak zwane „odinoczki”. Zaczęliśmy rozmawiać o nowym więźniu. Wszyscy wyrazili przypuszczenie, że jest to zapewne polski pogranicznik. Może zabłądził, a może go porwali...

Żołnierza na przechadzkę nie wypuścili. Dopiero następnego dnia, kiedy po okrzyku dyżurnego „wychodzi na progulku” przechodziłem przez korytarz, zobaczyłem, jak z jednej celi, znajdującej się na końcu korytarza, wypuszczono żołnierza polskiego w towarzystwie osobnika, który z wyglądu przypominał żyda. Przechadzka trwała kwadrans. Przez cały ten czas żołnierz chodził w towarzystwie żyda, coś mu gorączkowo opowiadał i rozglądał się ciekawie po podwór-

rze więziennem, przypatrując się również i nam.

Nie wolno nam było rozmawiać z więźniami z innych cel i dlatego nie mogłem się dowiedzieć, skąd żołnierza tego przyprowadzili i w jaki sposób trafił do Rosji. Kiedyśmy powracali z przechadzki, zetknął się z nim w drzwiach niejaki Szpakowski z naszej celi i zagadnął go:

— Czy pana porwali?

— Nie, ja sam przyszedłem.

— A poco?

— Bo nie chcę służyć polskim burżujom.

Dalszą rozmowę przerwał krasnoarmiejec okrzykiem:

— Czto tam za rozmowory?

I odepchnął Szpakowskiego.

Odpowiedzi żołnierza polskiego odrazu zraziły nas do niego. Polacy i Rosjanie poczuli do niego odrazę i niechęć. To też przez następne dni nie zwracał się nikt z nas do niego, chociaż spotykaliśmy go często, czy to przy robotach w kuchni, czy też na porannych przechadzkach. Na spacery wychodził teraz sam. Żydek, który mu towarzyszył w pierw-

szych dniach, nie pokazywał się więcej. Spotkałem go dopiero wtedy, gdy wyprowadzono nas z G. P. U. Był na wolności, widocznie pracował w G. P. U.

Przypominam sobie, iż w jakieś dwa tygodnie po przyprowadzeniu żołnierza do więzienia, wszedł do celi naszej dyżurny komendant. W pewnej chwili Szpakowski rzucił mu pytanie:

— Co to za żołnierz polski siedzi w więzieniu?

Komendant odpowiedział:

— Jakiś dezertter — pogranicznik, przyszedł nas komunizmu uczyć. Jak my go nauczymy, to mu się odechce komunizmu...

Odpowiedź ta zdziwiła nas wszystkich i długo o tem rozmawialiśmy.

Na początku maja część więźniów przetransportowano do Dopra^{*)}). Innych wysłano do centralnych gubernij Rosji, a resztę na granicę w celu przerzucenia na teren polski. W naszej celi pozostało zaledwie dwunastu. Na drugi dzień wprowadzono do nas więźniów

^{*)} Specjalne więzienie.

z innych cel, ośmiu ludzi, a między nimi i żołnierza polskiego. Żałowałem, że Szpakowskiego już wśród nas nie było. Miałby teraz możliwość z nim pomówić. Tegoż dnia nastąpiło poznanie się więźniów. Jak zawsze, posypały się pytania: za co siedzi, jak długo będzie jeszcze siedział i t.p.

Któryś z aresztowanych zapytał żołnierza, za co siedzi. Ale ten widocznie był zdenerwowany i szorstko odpowiedział:

— To moja rzecz.

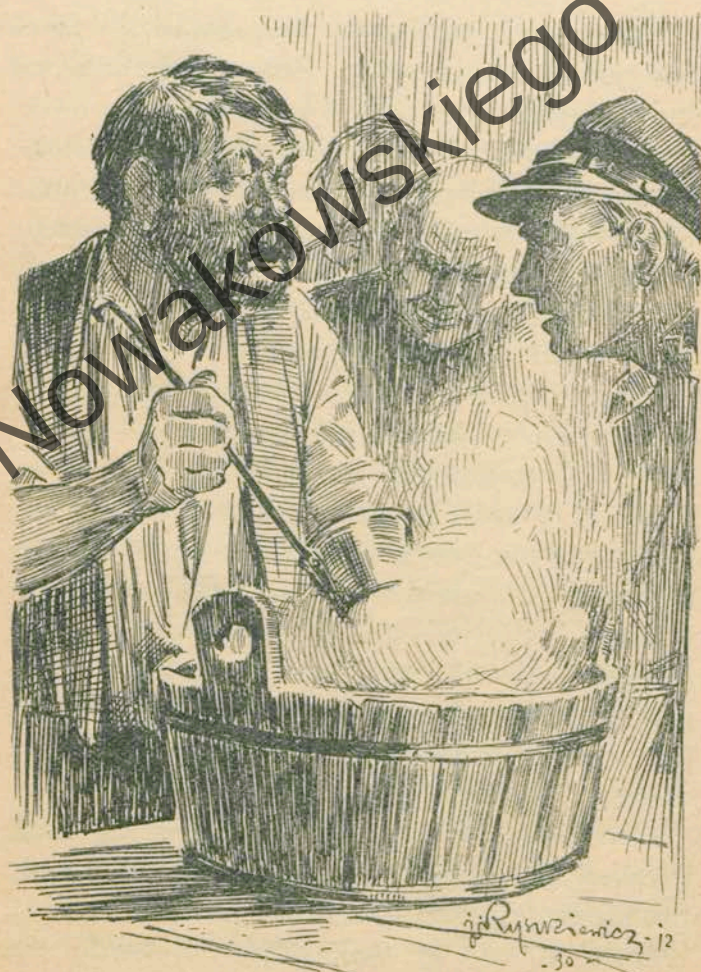
Widząc, że nie chce z nami rozmawiać, daliśmy mu spokój.

Wieczorem w czasie apelu (pierieklicz) usłyszałem, iż nazywa się Piotrowski. Na drugi dzień, kiedy dyżurny komendant przeprowadzał poranną inspekcję cel, Piotrowski zwrócił się do niego zapytaniem:

— Kiedy nareszcie będę rozmawiał z „upelnomocznym“?

Dyżurny spokojnie odpowiedział w języku rosyjskim:

— Przyjdzie pora, to zawezwą.



... upominał się natarczywie o dolanie mu dodatkowej porcji.

Odpowiedź ta znowu wyprowadziła Piotrowskiego z równowagi. Po odejściu komendanta zaczął chodzić po celi, mówiąc:

— Niechby choć, psiekrwie, odrazu powiedzieli—nie bujali tak bezczelnie! Pięknie obiecywali, a teraz to po więzieniach trzymają. Cóż to, czy ja jestem bandyta, czy co?

Niezupełnie rozumieliśmy, o co mu chodzi, ale nikt się nie odezwał.

Tegoż dnia podczas obiadu Piotrowski pokłócił się z więźniem, Rosjaninem—zawodowym kryminalistą, który będąc dyżurnym, rozlewał z szaflika zupę. Piotrowski po nalanu mu nie odszedł, lecz upominał się natarczywie o dolanie mu dodatkowej porcji. Dyżurny odpędził go. Żołnierz począł wy myślać, nazwał dyżurnego złodziejem. Moskal przyskoczył do niego z pięściami i gdyby nie wmieszali się w to inni więźniowie, wynikłaby napewno bójka.

Pomimo, że w tym zajściu miał rację dyżurny, bo więcej zupy Piotrowskiemu się nie należało, poczułem litość nad żołnierzem, zrobiło mi się go żal, gdyż naprawdę był w najgorszym położeniu. Każdy z nas po-

siadał rodzinę lub znajomych w mieście lub jego okolicach i ci co pewien czas przynosili do więzienia t. zw. „połuczki”—paczki z jedzeniem. Otwór zawartość tych paczek oddawała wielkie usługi naszym głodnym żołądkom. Żołnierz zaś od nikogo paczek nie otrzymywał i dlatego cierpiał głód. Żył tylko tem, co dawali w więzieniu. Porcja zaś dzienna składała się z jednego funta chleba, trzech kostek cukru, z obiadu (cienka zupka, na drugie kasza lub ziemniaki), prócz tego rano i wieczorem gorąca woda (kipiatok).

Raz, czasami dwa razy tygodniowo otrzymywaliśmy małe porcje mięsa. I dlatego nie dziwiłem się zbytnio, że żołnierz wywołał awanturę o kilka łyżek zupy.

Żołnierzowi nie szczęściło się w naszej celi. Po tygodniu zły doradca—głód wpłatał nieszczęśliwego w gorszą sytuację. Wysłano go rano, wraz z kilkoma innymi więźniami, do piekarni po chleb. Przenosząc kosz z chlebem, poodłamywał kawałki skórki z kilku bochenków i schował je do kieszeni. Więźniowie na to zwrócili uwagę. Na sali był obecny dyżurny komendant. Któryś z więźniów

powiedział, że to jest sprawka żołnierza polskiego. Piotrowski zaprzeczył, ale zrobiono u niego rewizję i stwierdzono przestępstwo. Dyżurny komendant napoczekaniu wymierzył Piotrowskiemu karę: trzy dni ciemnicy.

Odprowadzono go do ciemnicy. W przejściu spojrzął na mnie. W oczach miał łzy... Teraz już na dobre zrobiło mi się go żal. Głód popchnął go do kradzieży.

W kilka dni potem otrzymałem paczkę prowiantów. Po otwarciu jej zaproponowałem żołnierzowi kawałek słoniny z chlebem. Przyjął i podziękował. Widziałem — chociaż ambicja jego cierpiała, był jakby rozczulony. Ten poczęstunek wpłynął może najwięcej na późniejsze zbliżenie się nasze. Już wieczorem, kiedyśmy siedzieli na pryczach, opowiedział mi swoją historję. Opowiedział nie odrazu, podając różne szczegóły i w miarę jak o nie delikatnie wypytywałem, sam coraz bardziej się rozczulał i nabierał do mnie przekonania.

Pochodził z pod Brześcia nad Bugiem. Rodzice jego mają mały kawałek ziemi, są naogół biedni. Przed pójściem do wojska słu-



... opowiedział mi swoją historję

żył u innych gospodarzy. Posiadał siostrę, która zamieszkiwała pod Smoleńskiem po stronie rosyjskiej. Jeszcze przed wstąpieniem do wojska wpadały mu do ręki małe broszurki, w których opisywali, jak w Rosji teraz jest dobrze, że każdy biedny otrzymuje tam ziemię, a rząd pomaga w zagospodarowaniu się, że podatków się nie płaci i t. d. W grudniu 1924 r. został powołany do wojska i jesienią następnego roku zgłosił się na ochotnika do K.O.P. i został wcielony do bataljonu w Stołpcach.

W lutym 1926 roku, kiedy go wysłał dowódca strażnicy do sąsiedniej wioski po furmankę, spotkał na granicy krasnoarmiejca, który go zatrzymał, pytając, czy nie ma zapalek.

— Nie wolno nam — opowiadał żołnierz, rozmawiać z bolszewikami, ale widząc, że nikt na mnie nie patrzy, podszedłem do bolszewika. Podałem mu zapalnik. Wziął przytem od niego papierosa. Papieros był dobry, co też powiedziałem bolszewikowi. Ten zapytał:

— A jakież u was dają papierosy?

— Gorsze od tych — odpowiedziałem.

— Bo Polska jest biedna. Żołnierzowi u was nie dają tego, co by mu się należało.

Jakiś bies mi podszeptał, by zapytać:

— A co robią bolszewicy z żołnierzami polskimi, którzy na waszą stronę przejdą?

— Oddajemy ich do szkoły, gdzie uczą się rzemiosła, albo gospodarstwa — objaśniał poważnie bolszewik. A kiedy się wyuczą, dajemy im albo ziemię, albo warsztat rzemieślniczy — czego sami zechcą.

Przypuszczam, iż myśl zapytania przyszła mi do głowy dlatego, ponieważ niedługo miałem być zwolniony z wojska i nieraz zastanawiałem się nad tem, co będę robił w cywilu.

Zapytałem bolszewika jeszcze:

— Czy żołnierzowi polskiemu, jeżeli ma rodzinę w Rosji, wolno będzie pójść do niej po przejściu granicy?

Na to bolszewik odpowiedział po rosyjsku:

— Pożałujcie, skolkogo ugodno*).

Zapytał przytem, czy może mam kogo w Rosji?

*) Proszę bardzo...

— Tak, mam siostrę pod Smoleńskiem—
odpowiedziałem — tylko nie wiem, jak im
tam się powodzi.

Wówczas bolszewik zaproponował mi,
abym napisał list do siostry, a on go odeśle
i przez niego też otrzymam potem odpowiedź.
Obiecał za dwa dni przyjść na to samo
miejsce po list. Nic mu na to nie odpo-
wiedziałem, a widząc, że już za długo roz-
mawiam, pożegnałem go i powróciłem na
strażnicę.

W tem miejscu żołnierz przerwał opo-
wiadanie i zamyślił się smutnie. Nie chcia-
łem przerywać milczenia. Po chwili znowu
zaczął:

— Po tej rozmowie cały dzień i noc cho-
dziłem jak w gorączce. Różne myśli przy-
chodziły mi do głowy. Nad ranem, będąc
na zasadzce, zmęczony myślami, bezsenność
przysiadłem pod drzewem i zdrzemnąłem
się. Trzeba nieszczęścia, że przechodził właś-
nie plutonowy. Zaszedł onie gdy drzemałem,
złajał porządnie, a na drugi dzień przedsta-
wił do raportu. Porucznik postawił mnie
na dwie godziny pod karabin. Po południu

odbyłem karę, a będąc nią rozgoryczony,
postanowiłem list napisać, a jeżeli siostra
odpowie — przejść do Rosji.

Był to umówiony dzień spotkania z bol-
szewikiem. Zaraz też napisałem list do
siostry, wyszedłem ze strażnicy i spotkawszy
w umówionym miejscu bolszewika, oddałem
mu list. Bolszewik coś mi opowiadał, że
komendant ich obiecuje mi swobodę i ode-
ślanie do siostry. Ja jednak bałem się, nie
chciałem długo rozmawiać i wyznaczyłem
mu spotkanie za 11 dni. Pamiętam, rozma-
wiałem w środę, a spotkać mieliśmy się
w następną niedzielę.

Całych jedenaście dni starałem się dobrze
pełnić służbę, by nie zwracać na siebie uwa-
gi, ani też wzbudzać podejrzenia. W ozna-
czoną niedzielę nie udało mi się jednak
wyjść na spotkanie. W tym czasie wypadła
mi służba patrolowa. Widziałem wprawdzie
bolszewika, ale nie byłem sam i nie pod-
szedłem do niego. Spotkałem go dopiero na
drugi dzień w tem samym miejscu. Listu
od siostry nie przyniósł, bo jeszcze nie nad-
szedł, ale zapewniał, że ich komendant te-

legraficznie porozumiał się z moją siostrą, która powiedziała, abym przeszedł do Rosji sowieckiej.

Musiał ktoś zaobserwować moją rozmowę z bolszewikiem, bo zaczęli zwracać na mnie uwagę. Na patrol, czy zasadzkę wyznaczali mnie zawsze ze starszym szeregowcem, a ten na krok odemnie nie odstępował. W kilka zaś dni po rozmowie zawołał mnie do kancelarii porucznik i począł wypytywać: jak mi się powodzi, skąd pochodzę, gdzie mam rodzinę i t. d. Dziwną mi się wydała ta rozmowa: porucznik wiedział przecież, skąd pochodzę. Nie wiedział tylko, że mam siostrę w Rosji. Teraz zdałem sobie sprawę, że jestem śledzony. List od siostry nie nadchodził.

Aż przyszedł ten dzień nieszczęśliwy. Przed wieczorem kapral powiedział mi, że nie pójdę na zasadzkę, lecz będę miał służbę na posterunku alarmowym. Byłem pewny, że mnie podejrzewają. Postanowiłem działać. Przed wymarszem na służbę, gdy wszyscy w tym czasie spali, włożyłem na siebie dwie pary bielizny, zabrałem swoje listy, włożyłem lepszy kożuch. Drżałem z niecierpliwości i nie-

pokoju. Czułem się źle, jak przed zbrodnią. Pchało mnie jednak coś naprzód, jak opętanie. Nie mogłem doczekać się, kiedy mnie zawołają. Wreszcie sam zwróciłem uwagę kapralowi, że czas już iść. Spojrzał na zegarek.

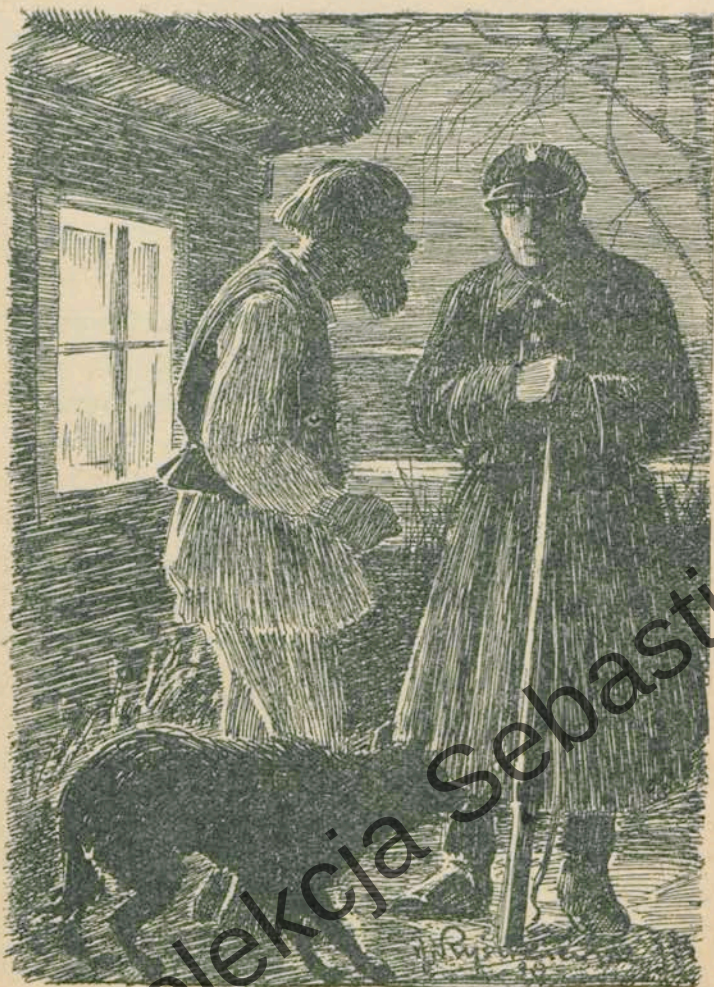
— Możecie iść — zdecydował.

Byłem jak w gorączce. Zaledwie stanąłem na posterunku, zacząłem rozglądać się czy nie siedzi mnie kto ukryty. Byłem pewny, że zaraz ktoś wyjdzie, żeby mnie pilnować. Trzeba było uciekać.

Zrazu szedłem powoli, później coraz prędzej i prędzej. Zdawało mi się, że mnie gonią. Począłem biec. Byle prędzej zagranicę! Ale kiedy doszedłem do pasa neutralnego, znowu jakby mnie ktoś siłą zatrzymał. Coś walczyło we mnie i wstrzymywało kroki. Już zwróciłem się w stronę Polski, gdy w tem zdało mi się, że słyszę krzyki:

— Dezerter, zdrajca!

Opanowałem się i zacząłem wrywać co sił. Zatrzymałem się koło nieznaney wioski. Nikogo po drodze nie spotkałem. W jednej chałupie płonęło światelko. Zapukałem do



Panoczku, tuś sowiety, udirajtje!

okna. Wyszedł chłop. Zapytałem go gdzie tu jest strażnica. Chłop z przestraszeniem odpowiedział:

— Panoczku, tuś sowiety, udirajtje¹⁾

A gdy nie ruszałem się z miejsca, zaprowadził mnie do chałupy, wziął odemnie karabin i wysłał po bolszewików. Za chwilę przyszedli i zabrali mnie na strażnicę.

I co pan powie, wprowadzili mnie do kancelarii, a tam już czekał na mnie ten sam bolszewik, z którym rozmawiałem na granicy. Nie był to szeregowy. Jeden z żołnierzy, meldując, mówił do niego: „towariszcz kamandir“²⁾.

Poczułem strach. Widzę, że mnie juchy oszukały. Cofnąłem się mimowoli, byłbym uciekł z rozkoszą, ale było już za późno.

Żołnierz umilkł na chwilę, a ja odezwałem się:

— Pewnie, że pana oszukali. Ja tylko dziwię się tej niepojętej łatwowierności, z jaką pan i panu podobni dajecie się tym drabom

¹⁾ Panie tu Sowiety, uciekajcie!

²⁾ Towarzyszu komendancie.

nabierać. Czy wrócił kto kiedy z bolszewji i opowiadał, że było mu tam dobrze?

— Wszyscy przyszliby zpowrotem, ale podobno za zdradę i dezercję kula w łeb. Lepiej wśród łotrów swoje pohańbienie ukrywać... Zdradziłem — nie mam powrotu...

— Zawsze jest powrót, jeżeli naprawdę żałuje i chce winę okupić. Wśród tych którzy z Polski uciekają, więcej jest durniów, jak prawdziwych szubrawców.

— Oj, że byłem dureń, to dureń — gorzko powiedział żołnierz. — Tyle mi obiecywali, a teraz nic z tego. Dlaczego mnie tu trzymają? Za co siedzę? Poco mnie zwabili na swoją stronę? Szukałem ci ja lekkiego chleba, mam teraz, ale kamień, nie chleb!

Uspokajałem go, jak mogłem.

— Co z panem zrobili? — pytałem ciekawie.

— Z początku zawierzyłem im — opowiadał żołnierz. — Bolszewik przyjął mnie z radością. Dostrzegłem jednak żyłki śmiechu na jego twarzy. Spisał ze mną mały protokół i obiecał, że zaraz jutro pojedę do siostry. Uspokoilem się i zasnąłem. Ach, jak oni kłamią, jak kłamią te szatany!

O świcie odprowadzili mnie do Kojdanowa. Zatrzymano mnie tam dwa dni w więzieniu. Rozpytywali o cały nasz batalion. Wszystko musiałem mówić... Z Kojdanowa odwieźli mnie do Mińska. Niby przez zapomnienie zostawili mój kożuch w Kojdanowie. Znam takie zapomnienie. Z kożuchem pożegnałem się na zawsze. Tu w Mińsku już trzy razy wzywają mnie na badanie. Opowiedziałem wszystkim, co wiem, a im wciąż mało. Pytają o rzeczy, o których w życiu nie słyszałem, na ten przykład o jakąś defensywę. Jak nie mogę im odpowiedzieć, mówią ze złością:

— Z czem ty do nas przyszedłeś? Co z ciebie za żołnierz, jak nic nie wiesz?

Kiedy prosiłem o odesłanie do siostry, uśmiechali się tylko i mówili:

— Pomału, pomału, gołubczyk.

I co mnie panie czeka? Ta bolszewicka swoboda i ziemia, to głód w więzieniu. A do Polski powrotu niema...

Czułem litość nad żołnierzem, który tak okropnie pokutował za chwilę słabości, za własną głupotę, za to, że dał się sprytniejszym od siebie obalamucić. Ale czem go pocieszyć?

Znałem dobrze bolszewików i wiedziałem, że to dopiero początek znęcania się nad nim, że oczekuje go jeszcze coś gorszego, że położenie jego jest naprawdę bez wyjścia. Sam byłem również przygnębiony. Byłem wciąż pod śledztwem i końca swoich męczarni również nie widziałem.

Od tej rozmowy zaczęło się nasze zbliżenie i wzajemne zaufanie. Zacząłem bacznie przyglądać się żołnierzowi i widziałem, że to nie jest zły chłopak, a padł tylko ofiarą swej głupoty. Przeczytał jedną i drugą kłamliwą broszurkę sowiecką, usłuchał podszeptów złego i przewrotnego człowieka i uwierzył w raj sowiecki. A tymczasem raj ten był piekłem dla niego. Co dziennie rozczarowywał się coraz bardziej. Każdy nowy więzień (większość z nich siedzi niewinnie) otwierał oczy żołnierzowi na to, jak to naprawdę jest w tym raju. Bolszewicy głodzili nas, karmiąc zamiast chlebem i mięsem — gazetami i broszurami.

Piotrowski początkowo chciwie czytał różne piśmiła. Myśmy już od kilku lat widzieli, jak wygląda swoboda bolszewicka

i poznaliśmy ją nie z książek, ale z własnego nieszczęścia. Inaczej to wyglądało na papierze, a inaczej to odczuwaliśmy na własnej skórze. To też wyjaśnialiśmy mu wszystkie kłamstwa i wykazywaliśmy mu prawdę.

Po kilku tygodniach przestał czytać broszurki. Zajmowały go jeszcze tylko gazety. Szczególnie uważnie przeglądał w „Młocie“ dział „Wiadomości z pańskiej Polski“. Często sam oburzał się, czytając zmyślone nowiny o prześladowaniu i ucisku w Polsce. Musiałem nieraz mitygować go, zaczynał bowiem wymyślać bolszewikom, nazywając ich oszustami i nie szczędząc najgorszych wyzwisk żołnierskich.

Po miesiącu Piotrowski został wezwany do G.P.U. na badanie. Widziałem rozradowaną twarz jego, gdy go wezwali. Wrócił jednak bardzo przygnębiony i zdenerwowany. Nie chciałem go pytać, aby złością nie wybuchnął i nie nagadał czegoś, co by mu mogło później zaszkodzić. Ale po chwili on sam, chociaż jeszcze niezupełnie spokojny, podszedł do mnie.

— No i co? — zapytałem.

— Nie dosyć, że mnie głodem morzą i oszukują, jeszcze chcą szpiega ze mnie zrobić.

Rzucił się na prycę i ścisnął głowę rękoma. Widziałem, że jest w ostatecznej rozpacz.

— O co chodzi? — próbowałem go wybadać.

— Chcą, żebym poszedł do Polski i szpiegował dla nich, a jak się zasłużę, to mi dadzą ziemię i do rodziny puszcza.

Wieczorem, już uspokojony, radził się mnie, co ma robić.

— A do kraju pan się boi wrócić? — zapytałem.

— Dostałbym kulą w łeb. Przecież uciekłem z bronią z posterunku. Dla mnie niema powrotu.

Szukałem w myśli wyjścia z tego położenia, ale znaleźć go nie mogłem.

— Niech pan nie traci nadziei, może się coś zmieni na lepsze—powiedziałem na pociechę, sam nie bardzo w to wierząc, bo zmienić się mogło tylko na gorsze.

Niedługo czekaliśmy na to gorsze. W kilka dni potem znowu wysłali więźniów z G.P.U. Rano zabrali z naszej celi dziewięciu ludzi, później zaś wywołali Piotrowskiego i jeszcze jednego więźnia i wyprowadzili ich z bramy G.P.U. Ani ja, ani sam Piotrowski, ani nikt z obecnych nie wiedzieliśmy, dokąd ich zabrali. Myśleliśmy, że wywożą ich gdzieś dalej, może na roboty.

Polubiłem tego żołnierza za jego przywiązanie i zaufanie do mnie. Zdawało mi się, że cierpienia jego zmazały z niego po części straszliwą winę. Odetchnąłem jednak, gdy go zabrali, tak mnie męczyły jego rozczarowania i zmartwienia.

Moja sprawa wciąż stała na martwym punkcie. Przychodziła córka i prosiła o zwolnienie mnie za kaucją, nic jednak nie wskórała.

Sądzone mi było zobaczyć jeszcze Piotrowskiego. W dziesięć coś dni po zabraniu go, nad wieczorem wprowadził krasnoarmiejec na podwórzu więziennym jakiegoś człowieka. Był bosy, miał szarą rosyjską bluzę, a na głowie czapkę cywilną. Rzuciły mi się

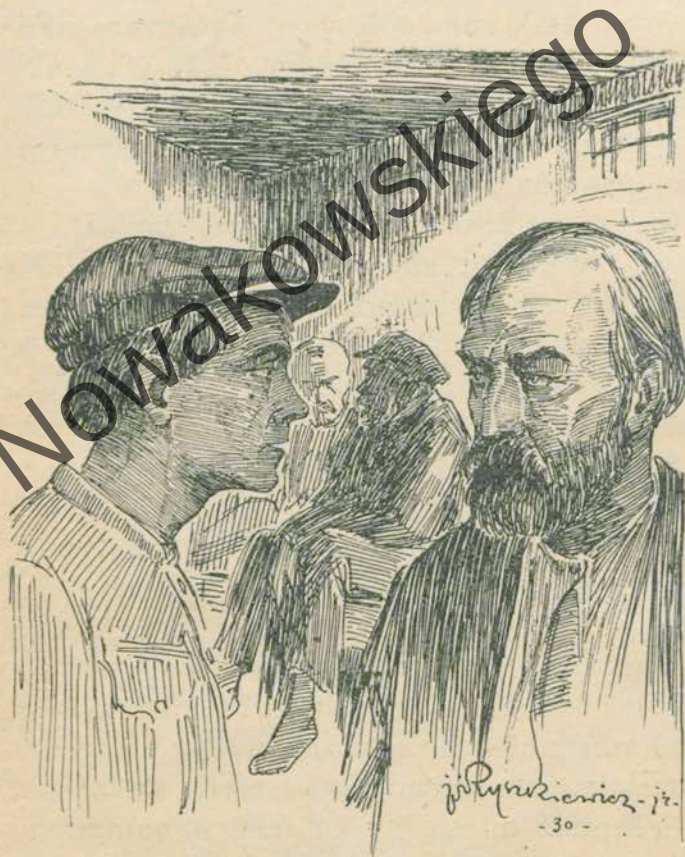
jednak w oczy jego spodnie wojskowe. Podszedłem bliżej i z przerażeniem poznałem w nowo przybyłym Piotrowskiego.

Nie udało mi się jednak z nim zamienić słowa, bo ulokowali go w oddzielnej celi. Przez szereg następnych miesięcy widziałem go tylko na porannych przechadzkach. Zbliżyć się nie mogłem.

Wiedziałem, że bardzo chce pomówić ze mną. Nie dopuszczano mnie do niego. Dopiero po trzech miesiącach, gdy przeprowadzano jakiś remont w więzieniu, wyprowadzili wszystkich do przenoszenia cegły. Zwrócił się wtedy do mnie Piotrowski i opowiedział swe dalsze koleje losu.

Kiedy wyprowadzono go z więzienia, zawołał go do siebie „uppełnomoczenny” i powiedział, że Rosja darmo karmić go nie będzie, że najpierw musi zasłużyć sobie na prawo swobodnego zamieszkiwania w Rosji. Zostanie zatem przerzucony na stronę polską i tam ma wykonać kilka zadań wywiadowczych. Bolszewicy sami mu napiszą, kiedy będzie mógł powrócić do Rosji.

— I co naprawdę, pana przerzucili? Przecież sami pana tutaj przyciągnęli?



Zwrócił się wtedy do mnie Piotrowski...

— A tak, sami obiecywali. Przemocą w Zaslaviu zabrali mi mundur, buty i czapkę, niby dlatego, żeby mnie nie poznano. Dali mi te oto łachmany i wraz z trzema osobami przerzucili mnie za granicę.

— Jakżeż pan się tu znowu znalazł?

— Ukryłem się w krzakach i kiedy bolszewicy odeszli od granicy, wróciłem po godzinie znów do Rosji. Cóż miałem robić, iść na pewną śmierć? Niedaleko od Zaslavia złapali mnie i trafiłem znów do więzienia. Dziś żałuję, że powróciłem. Niechby już raz koniec był, tutaj człowiek z głodu zdechnie...

Przyjrzałem się uważnie Piotrowskiemu. Rzeczywiście trudno było poznać chłopaka, który taki czerstwy i zdrowy był, kiedy go zobaczył pierwszy raz. Teraz wyglądał jak człowiek ciężko chory: twarz zmierzowana, koloru ziemi, oczy zapadłe, błyszczące nienaturalnie, cała postać wynędzniała, zbiedzona.

Zrobiło mi się go żal, ale nic pomóc mu nie mogłem. Była to moja ostatnia rozmowa z Piotrowskim. Wkrótce też przestałem go widywać. Nadchodziła zima, a on nie miał ubrania i na przechadzki nie wychodził. Pyta-

łem się nieraz dyżurnego komendanta, jak tam żyje Piotrowski. Na co ten dawał wciąż tę samą odpowiedź:

— Niczewo, pożywa^{*)}.

W końcu grudnia 1926 r., widocznie dzięki staraniom córki, zostałem uwolniony z więzienia G. P. U. Odstawiony do Dopra. Odtąd już nie widziałem Piotrowskiego, ani też nic o nim nie słyszałem.

Mogę tylko przypuszczać, co się z nim dalej stało. Zimy w więzieniu prawdopodobnie nie przetrzymał. Głód i zimno powali tam najsilniejszy organizm. Jeżeli jednak żyje, to albo przerzucą go zpowrotem do Polski, bo los jego mało ich obchodzi, o ile nie mogą go użyć za narzędzie swych celów, albo wyślą gdzieś na wyspy Sołowieckie do robót. Tam długo nie wytrzyma. Trzeba na to żelaznego zdrowia.

* * *

Tomaszewski przestał mówić.

Postuk rozpędzonego pociągu snuł jakby dalej opowieść o losach dezertera.

Nie przerywałem milczenia.

*) Tak sobie, żyje.

Palilem nerwowo papierosy. Przed oczyma memi rysowało się odbicie tego naiwnego chłopca, który zawierzył bolszewikom. Zamajaczyły światła. Pociąg zbliżał się do Warszawy.

— Tak, to już Warszawa! — z radością wybuchnął Tomaszewski. Na nowe życie! — byle tylko dalej od zła i piekła ustroju sowieckiego...

— Tak, kochany panie, byle dalej... Dziękuję panu niezmiernie za wzruszającą prawdę o tym nieszczęsnym żołnierzu.

Uścisnęliśmy sobie serdecznie dłonie.

Kolekcja Sebastiana Nowakowskiego

ja Sebastiana Nowakow